

wobec instynktownego głosu krwi własnej. Jest więc bardzo prawdopodobne, że Bonnet pamiętał o synu przed śmiercią i uczynił go uniwersalnym swoim spadkobiercą.

Na słowa te pułkownik Robert powstał nagle i pochwycił żywo starego archiwistę za ramię, zapalając w nim rozgorączkowane spojrzenie.

— Czy pan jest pewnym tego, co mówi? — zapytał wzburzonym głosem.

— Prawie pewnym — odparł Cyprian Leduc — chociaż prawdziwej pewności niema na świecie. Od roku uczyniłem w tym kierunku wiele poszukiwań. Byłem w Saint-Nicolas, wszedłem w stosunki z pewnymi osobistościami z Indyi i dowiedziałem się o wielu rzeczach.

— Ale to dziecko?

— Istnieje, mój panie, istnieje, tak, jak i ja, jak i pan. — odparł dobroniusznie stary archiwista.

— Kto panu o tem powiedział?

— Jaki pan jednak ciekawy!

— Skąd pan wie o istnieniu tego dziecka? — nalegał natęczywie pułkownik.

— Nie mam jeszcze namacalnych dowodów, ale według treści listów, otrzymanych w tych dniach z Pondichery, dowody te miały być dołączone do depeszy, która znikła dzisiaj w tak zagadkowy sposób z torby tego biednego Bruchon.

Instynktownym, nieobliczalnym ruchem pułkownik dotknął ręką kieszeni płaszcza, w której znajdowały się papiery, wręczone przez starą Bruchon.

Cyprian Leduc śledził go bacznie spojrzeniem. Pułkownik spostrzegł to natychmiast, wyprostował się i szybko rękę opuścił, przygryzając nerwowo wargi.

— No i cóż? — zapytał stary archiwista — Cóż pana wstrzymało?

Pułkownik wściekłym ruchem potrząsnął głową, poczem ręką przesunął po czole.

— Ah! Do szatań! — wybuchnął — Kimże pan jesteście właściwie? Czego pan chcesz ode mnie i jakiż interes wiąże pana z tą sprawą? Leduc spojrział na niego z politowaniem.

— Spodziewałem się tego zapytania! — rzekł, powstając również i przybierając surową, poważną postawę. — Pan się mnie pyta, czego chcę, czego żądam! A więc ja chcę podziału, rozumie mnie pan?

Pułkownik Robert cofnął się zdumiony.

— Podziału? Pan chce ze mną podziału? — zawołał — A czemuż pan dzielić się pragnie?

— Pan pragnie poślubić tę młodą dziewczynę, Gilbertę, nieprawdaż?

— Ja? — szepnął pułkownik, patrząc już z przerażeniem na tego nikłego staruszka, który mu coraz więcej imponować zaczynał.

— Może to pan wyznać bez wahania, skoro odgadłem tajemnicę pana! — rzekł swobodnie Cyprian Leduc — Ale, żeby Gilberta przejęła majątek Bonnet'a z Indyi, prawy sukcesor zniknąć na zawsze musi, to jasne!

— Ale dowód jego istnienia? Gdzie jest ten dowód? — pytał natęczywie pułkownik.

— Niech pan przeszuka swój płaszcz! — odparł spokojnie stary archiwista — Niech pan przeczyta depezę, którą wręczono panu tej nocy, a znajdzie pan w niej łatwo dowód poszukiwany.

Pułkownik Robert był już doprowadzony do ostateczności. Ważność sytuacji tłumila wszelkie jego wysiłki ostrożności. Nerwowo przesunął kieszenie płaszcza, wyciągnął papiery i rozłożył na stole, przeglądając rozbłysłem spojrzeniem.

— Tak, tak! Otdóż właśnie! — szepnął przez zęby, przerzucając niecierpliwie akta — Dziecko spadkobierca! Oh! Ten nie może żyć! To pewne! On zniknąć musi... i to jak najprędzej... inaczej wszystko przepadło!

— Tak samo właśnie myślałem! — odezwał się stary archiwista, przyglądając się mu uważnie przez zmrużone powieki.

— Więc go pan zna?

— Znam go.

— I wie pan, gdzie się obecnie znajduje? — zapytał pułkownik, przystępując o krok bliżej.

— Powiem to panu.

— Kiedy?

— Wkrótce.

— A więc jakiego użyjemy środka? Czy pan to już obmyślił?

Dyskretny i tajemniczy uśmiech przebiegł po wargach Cypriana Leduc.

— To, to już mój sekret! — wyrzekł zimno —

Zanim go panu wydam, chcę również otrzymać coś z pańskiej strony. Czy zgadza się pan? Czy przyjmuje pan moją propozycję?

— Podział? — szepnął pułkownik Robert, odychając głęboko.

— Tak, podział.

— Ale ja nie wiem... kłóż mi zaręczy, że to nie jest zdrada? Może pan tylko chce mnie podejść w ten sposób?

— Jak się panu podoba! — odparł obojętnie stary archiwista — Pozwolę sobie tylko zwrócić pana uwagę, że najlepszą rękojmią dla pana jest mój interes osobisty, który tu w grę wchodzi. Niech pan mnie posłucha: albo będę posiadaczem połowy milionów po zmarłym Bonnetie w Indjach i staję się wówczas pana współnikiem i przyjacielem, albo odrzuci pan moją propozycję i wtedy oczywiście wypowiadam panu wojnę na śmierć i życie. A wie pan dobrze, że wszystkie aluta są po mojej stronie i trzymam pana w ręce. Ja nie zabijam, ani nie morduję, panie pułkowniku, ale idę do celu, posługując się środkami niemniej pewnymi, w każdym razie mniej niebezpiecznymi i gwałtownymi.

— Przyjmuję zatem! — zawołał pułkownik Robert bez wahania.

— To doskonale! A teraz opuszczę już pana. Niech pan dalej czuwa nad tą dziewczyną, którą ukrywa pan u siebie i niech ją pan szanuje tak, jak gdyby była rodzoną córką pana. Jest to rodzaj zastawu, który nam posłużyć może, który może nam oddać wiele dobrego. Niech pan o tem nie zapomina, bo to ważne. Co zaś do dalszego porozumienia się naszego — to wie pan, gdzie mieszkam, ja zaś wiem, gdzie pana znaleźć mogę. Mam nadzieję, że wzajemny nasz stosunek od dziś dnia się zacieśni tak, jak powinien pomiędzy dwoma współnikami, dążącymi do jednego celu.

Przy tych słowach stary archiwista skłonił się przed pułkownikiem, wyszedł z pokoju i zniknął wkrótce w pasażu Duë.

Bonnet z Indyi nie żyje.

Przybywając z Marsylii do Saint-Nicolas, można zauważyć przy wejściu do przedmieścia, po lewej stronie drogi, dom o dosyć ładnym wyglądzie, otoczony obszernym dziedzińcem, zarośniętym dużymi drzewami. Od strony ulicy dziedziniec był otoczony wysokimi sztachetami żelaznymi, zardzewiałymi od słońca i deszczu.

Dom ten jest oficjalną rezydencją pana Durandau, notaryusza. Żyje tu skromnie i cicho z żoną swoją, panią Celestyną Durandau, dwoma córkami, pomocnikiem notaryalnym, panem Lambertin i praktykantem, młodym Albertem Dupotel.

Pan Lambertin, to typ silnego, rozrosłego bruneta, o gęstej, bujnej czuprynie. Ramiona ma muskularne i szerokie, czoło niskie, zarośnięte i usta wydatne, nabrzmiałe krwią młodą i gorącą. Robi na pierwszy wzrok wrażenie człowieka o wielkiej zmysłowości, łagodzonej spojrzeniem pary oczu, dziwnie wyrazistych i melancholijnych.

Pan Lambertin pochodzi z Saint-Nicolas. Ojciec jego był tam kupcem i dorobiwszy się dosyć znacznego majątku, zapragnął koniecznie uczynić z syna notaryusza. Wobec stanowczej jego woli, młody Lambertin zdecydować się musiał, tem bardziej, że kochał ojca gorąco i nie chciał mu uczynić żadnej przykrości. Ale jednak cierpiał dotkliwie z powodu tego stanu, który zmuszał go do przebywania dni całych za biurkiem, podczas kiedy młoda i gorąca jego natura wymagała koniecznie dużo ruchu i wolnej przestrzeni.

Jedną rzecz szczególnie przyczyniała się do jego udręceń, potęgując ten stan konieczny.

Młody Lambertin nosił w sobie uporczywe marzenie, które nawiedzało jego umysł bezustannie i którego w żaden sposób pozbyć się nie mógł.

Tem marzeniem był Paryż!

Paryż, to wielkie, burzliwe miasto pociągało go całą swoją siłą i oszalało!

Nie znał go wcale, a jednak występowało ciągle przed oczami jego, drażniąc jego ciekawość i uwagę.

Kiedy głębiej nieraz zastanawiał się nad tym nęcącym mirażem, doznawał zawrotu głowy, jak gdyby stał nad brzegiem niebezpiecznej przepaści. Była to jakaś wizja straszna, idealny, nowy świat, ujrany nagle w paradyśle oślepiających blasków.

Biedny Lambertin czuł, jak wizja ta pochłania wszystkie jego zmysły, odrywa myśl od codziennej rzeczywistości i trzeba było wielu wysiłków z jego strony, aby powrócić do normalnego stanu rzeczy.

Taki był stan kancelaryi pana Durandau, kiedy rozegrały się wypadki, które opowiadanie dalsze ujawni.

Miesiąc już upłynął od zabawy, wydanej przez pułkownika Robert w Paryżu, w willi swojej przy Polach Elizejskich.

Pewnego dnia, był to poniedziałek, pan Lambertin znajdował się sam w kancelaryi notaryalnej. Jeszcze w sobotę wieczorem pan Durandau oznajmił mu, że przepędzi dzień niedzielny w Marsylii i że pozostanie tam prawdopodobnie wraz z żoną i córkami aż do wtorku.

Perspektywa tych dni samotnych nie była nieprzyjemną dla pana Lambertin. Lubiał bardzo pana Durandau, ale tenże był dosyć monotony w rozmowie, najchętniej mówił tylko o kwestiach, dotyczących swojego urzędu i kancelaryi i nie poruszał nigdy bardziej zajmujących przedmiotów.

Lambertin, znalazłszy się w biurze, zabrał się do pracy i przez dwie, czy trzy godziny siedział skulony nad stolikiem, przewracając akta, robiąc różne notatki, dosyć zadowolony, że mu nikt w tem przymusowym zajęciu nie przeszkadza.

Jednakże w chwili, kiedy była godzina jedenasta, silny dźwięk dzwonka oderwał go od pracy. Ktoś przechodził przez brukowany dziedziniec i kroki te zbliżały się do drzwi biura.

Po chwili weszła służąca i podała mu bilec wizytowy. Lambertin zdziwiony, gdyż nie spodziewał się żadnych odwiedzin, ujął szybko kartę i wyczytał wydrukowany na niej napis: Pułkownik Robert.

— Wprowadź tego pana — zwrócił się do oczekującej służącej.

Prawie natychmiast pułkownik Robert wszedł do pokoju. Chwilę przystanął na progu, jak gdyby obserwując, poczem szybko podszedł do Lambertin'a i skłonił się z wyszukaną grzecznością.

— Czy mam przyjemność mówić z panem Durandau? — zapytał.

Lambertin powstał.

— Nie, proszę pana — zaprzeczył. — Pan Durandau wydalł się z domu na dni kilka i prawdopodobnie powróci dopiero jutro. Ale, jeżeli to chodzi nie o sprawę prywatną, tylko notaryalną — służę panu. Jestem pomocnikiem pana Durandau.

Wyraz zawodu i niezadowolenia wybiegł na twarz pułkownika.

— Żałuję mocno, że nie zastałem pana Durandau — odparł. — Przybyłem do Marsylii wczoraj wieczorem prosto z Paryża i udaję się następnie do Nizy, gdzie muszę już być jutro rano. Nie wiem więc, czy będę tu mógł powrócić.

— Czy pan koniecznie pragnie się widzieć z samym panem Durandau?

— Pragnę się widzieć z notaryuszem. Nie znam osobiście pana Durandau, ale chodzi o objaśnienie wielkiej dla mnie wagi.

— A może ja sam mógłbym być użytecznym panu? — zahazardował pan Lambertin.

Pułkownik zawahał się chwilę.

— Czy długo pracuje już pan w tem biurze? — zapytał wkońcu.

— Od lat blisko dwudziestu.

— Ah! Doskonale! Więc musi pan być obznajomiony ze wszystkimi sprawami i znać wartość wszystkich aktów, złożonych u pana Durandau?

Lambertin wskazał ręką pułki, przyłączone rzędem do ścian i gnące się pod ciężarem żółconych papierów i aktów przeróżnych.

— Wszystko to, co tu jest — rzekł — znane mi jest doskonale. Niema tu skrawka papieru nawet, którego treść mogłaby mi być obcą. To starzy приятели. — roześmiał się swobodnie.

— Ah! To co innego! — zawołał z żywym zadowoleniem pułkownik Robert — Sprawa, która mnie tu sprowadza, nie jest zresztą skomplikowana. Jak już wspominałem, chodzi mi o pewne objaśnienie, które miałem nadzieję otrzymać od pana Durandau. Jestem pułkownikiem Robert. Zajmuję w Paryżu stanowisko bardzo wysokie i nie sądziłem nigdy, abym kiedyś potrzebował uciekać się do podobnych, banalnych objaśnień. Jeżeli więc w nieobecności pana Durandau, może pan dla mnie uczynić to, co on byłby bezwątpienia uczynił, będę panu szczerze wdzięczny.

(Ciąg dalszy nastąpi).